



FOT. M. KOPEC

Elżbieta Ciastoń

## HAZARDZIŚCI Z OPTYMIZMU ZRODZENI

na którym opiera się w coraz szerszym stopniu przemysł chemiczny, nowoczesna gospodarka. Ropa to najtańsze źródło energii... Jej trop wydaje się być świeży, ale upragniona „zwierzyna” umyka jeszcze myśliwym.

11 osób nagrodzonych — cała galeria portretów. Ileż różnych typów, upodobań, zamiłowań, czy poglądów. Większość z nich łączy wspólna cecha. Wykształcenie zdobyli w Polsce Ludowej. Są to ludzie młodzi — średni wiek 35 lat, pełni energii, zapału, dla których prace poszukiwawcze są życiową pasją.

11 osób. Są wśród nich geolodzy i wiertnicy, ekonomiści, ludzie, którzy bezpośrednio kierowali, a nie rzadko dodawali otuchy w pracy ekipom wiertniczym, którzy dołożyli starań, aby nowo odkryte bogactwo — gaz ziemny — wprząc w służbę społeczeństwa.

W grupie osób nagrodzonych znajduje się również Stanisław Frydrych, dyrektor PPN w Jaśle. Można o nim powiedzieć, że nie z jednego pieca chleb jadł. Szukał ropy pod Boryslawem, w Teheranie, Iraku, Egipcie. Szukał i znalazł „Zubera” w Krynicy. Lata okupacji spędzone na różnych frontach: w Afryce, Włoszech, to osobny, bogaty temat.

Prace wiertnicze w rejonie Lubaczowa — mówi St. Frydrych — zaczęliśmy w 1957 roku. Nie byliśmy przygotowani ani specjalnie nastawieni na gaz. Wiele razy przyroda nas zaskakiwała. Stawiała w trudnym położeniu.

Szkoda, że państwo tego nie widzieli...

Tu zaczyna się relacja reportera. Wielki gejzer ognia strzelał w niebo. Ziemia rozmiękała, przemieniona w gorące grzęzawisko. Siła wybuchu gazu zasypała koryto rzeki. Woda zalała okoliczne domy. Widok — zwłaszcza w nocy — wzięty niczym z fantastycznych opisów, księ życowych krajobrazów. Przez kilka dni ze szpał gazet nie schodzą wiadomości o wysiłkach zmierzających do ugaszenia płonącego gazu. Walka nieustępliwa, trudna, bohaterska. Własne kufajki niejednemu rzucał, aby zatkać płonący otwór. A ten był wciąż nienasycony. Ogień zdławiono. Saperzy wycieli dynamit, tem nowe koryto rzeki. Wody spłynęły, życie wróciło do normalnego stanu. Na mapie gospodarczej woj. rzeszowskiego maleńki czerwony znaczek udokumentował sukces wiertniczy. Oni sami wzbogacili się o jeszcze jedno doświadczenie, przygotowali na tego rodzaju niespodzianki.

Ileż bezsennych nocy spędzili, aby dojść do takiej wprawy. Wszystko przychodzi z latami praktyki. Tej wiedzy nie daje żadna uczelnia — mówi inż. Frydrych.

Jest gaz ziemny! Kto odda trud włożony w dokładne zbadanie zasobów. Wiercenia... jeszcze raz wiercenia badania... jeszcze raz badania. Dzięki nim, geologom — wiertnikom wiemy co posiadamy. A posiadamy już sporo gazu ziemnego.

Wiertaczem trzeba się chyba urodzić. Co każe tym ludziom całe miesiące spędzać poza domem, w wyludnionych często okolicach, gdzie diabeł dobranoc mówi. Przerzucają się z miejsca na miejsce. Raz tu, raz tam. Zarobki? Nie są znów tak duże. A więc co? Smak nafty, wielkiego hazardu — tryśnie ropa, gaz, czy nie... Może!

Nie jest im łatwo, czasem aby zjeść obiad, trzeba iść 3 lub więcej kilometrów. Głodnemu zawsze szybciej. Wystarczy jednak wrócić, aby znów być głodnym.

Mnożą się konfliktki. Mąż powracający na kilka godzin do domu ma pretensje do żony, że traktuje go

jak... gościa. Żona i dzieci też mają tysiące żalów...

Każdy zawód, w tym wiertniczy ma swoje mity, legendy i tradycje. Nafciarze „narod” przesądny. Nieszczęściem byłoby spotkać na drodze do pracy księdza, zakonnicę, kota. Zawracano z drogi. Szukano okrzęnych ścieżek. Dziś jeszcze niektórzy w tym przypadku dyskretnie spluwają. Tylko w sobotę zaczynają wiercenia. W najgorszym razie, w środę. Kobiety na kopalni. — prawdziwe fatum! Żona Stanisława Frydrycha zwiadała szyby wiertnicze dopiero po wyzwoleniu, gdy „tradycje” uległy pewnej modernizacji. Ciekawskim „babom” kazano nakładać... spodnie. Na powodzenie wierceń, zaraz na wstępie trzeba było lyknać czegoś mocniejszego. Udałe poszukiwania wieńczono nie lada libacją.

Opowiadają o starych zwyczajach bez łyzy w oku. Tak jak się opowiada bajki grzecznym dzieciom i reporterom szukającym „ciekawostek” w ich znojnjej pracy. Nie zamierzają ich kultywować. Bo i po co?

Prace poszukiwawcze — to skomplikowany proces. Forpocztę stanowią geolodzy (system badań — temat osobny i szeroki). Tu zresztą każdy usiłuje wnieść coś nowego do ogólnej wiedzy o ropie czy gazie. Twierdzą na przykład, że ropa wyraźnie faworyzuje miejscowości noszące nazwy z nią związane, jak np. Ropienka, Ropa... Nie raz praktyka zdolała to potwierdzić. Mimo to nie sporządzili jeszcze listy odpowiednich miejscowości. To byłoby zbyt proste.

Następnie idą wiertacze wspierani pracami laboratoryjnymi, wyposażeni w coraz lepszy sprzęt, produkowany również w naszym województwie. Kiedy oni odchodzą, ich miejsce zajmują przedsiębiorstwa eksploatacyjne przetwarzające ropę i gaz.

Zarówno geologom, jak i wiertnikom jest najprzyjemniej, gdy widzą jak owoce ich pracy służą innym ludziom, krajowi.

Tkwimy w tej kanikule nieco odrośnięci upałem i zbieramy siły na przyszłą jesień; teatr rzeszowski zbiera je w tym roku ze szczególną atencją i dodajmy, bo to kiedyś będzie nie bez znaczenia, w ogóle w szczególnej sytuacji. Najogólniej mówiąc — nie najkorzystniejszej. Rozproszony zespół aktorów z góry narzuca obraz przedsezonowych poszukiwań i pertraktacji; odejście widza od teatru, jakie dało się ostatnio zauważyć, nie tylko niepokoi (bo sam niepokój byłby zjawiskiem negatywnym i biernym), ale przede wszystkim każe zastanowić się nad formami o wiele lepszej recepcji spektakli w środowisku, nad szukaniem najlepszego sposobu sprowokowania dialogu intelektualnego między teatrem a publicznością. Zbyt mało to bowiem, gdy relacje teatr — widz polegają na mechanicznym gram — oglądam, bo nawiązując do słynnego cesarzo-

nad jego linią repertuarową i wyzwoliła szeroką dyskusję nad różnymi formami kontaktów tegoż ze środowiskiem.

Ostatnia narada wykazała przy tym, że istnieje grono wiernych teatrowi i szczerze zainteresowanych jego losami, czego wcale nie utożsamiam z gronem adorujących bezkrytycznie każde posunięcie, bo myślę, że i tu da się zastosować credo dobrej pedagogiki o miłości mądrej, tzn. wymagającej i surowej.

Próbie oceny sezonu 1964/65 zamieszciam przed rokiem w Życiu Literackim i, niestety, nie mogła być ona pozytywna; było w niej wszakże dużo optymizmu na przyszłość — na sezon 1965/66, sprowokowanego przez zupełnie rozsądną propozycję repertuarową, jakie wtedy nam podsunęło. Był wręcz entuzjazm dla nowej inicjatywy, w

Krystyna Świerczewska

## PRZED SEZONEM

wego veni, vidi obrywany tej maksymie czion najistotniejszy — owo wiel. Idzie zawsze od zwycięstwa, a w wypadku teatru o podboje intelektualne, nie tylko w wartościach kulturowych, etycznych, ale co wcale nie mniej — ideowych.

Broń dana teatrowi w tych podbojach — to jego repertuar: on decyduje i przesądza o zwycięstwie lub porażce, on wyzwała protesty i pochwały, on wreszcie świadczy o ambicjach teatru i mówi o jego własnej ideowości oraz zaangażowaniu w czas współczesny.

Niestety, Teatr im. W. Siemaszkowej, nie najchłodniej tę broń wykorzystywał dotychczas, nie najsensowniej rozkładał proporcje między zapotrzebowaniem na rozrywkę, a rzeczywistym uczeniem środowiska teatru, naturalnie dobrego teatru, wielkiego teatru, prowadził politykę repertuaru nie tyle różnorodnego, która a priori wszyscy zakładamy w odniesieniu do teatrów wojewódzkich, ile repertuaru przypadkowego, stojącego poniżej jego możliwości i świadczącego o dość specyficznych ambicjach.

Ostatnia narada środowiska nad repertuarem przyszłego sezonu, powiększona o ocenę 12-letniej działalności rzeszowskiego teatru, dokonana na zlecenie Ministerstwa Kultury i Sztuki przez znanego krytyka i literata Jana Pawła Gawlika dała wielki asumpt do przemyśleń nad przyszłą działalnością teatru,

skrótce zwanej działalnością „Małej sceny”. Ze jednocześnie ów entuzjazm na wyrost był przedwczesny — rzeczywista działalność Małej Sceny dowioda nader dobitnie: coś tam próbowało się dziać, nieśmiało szukano odskoczni od tradycyjnego wzorca właśnie na niej, skrzywdzona przy tym piękny spektakl Brandysa „Bardo starzy oboje”, przynębiono reżysera i aktorów, którzy maksimum wysiłku kładąc, zagrali ów spektakl przy niemalże pustej scenie 3 czy 4 razy.

Próbuje się to nazwać dziś szukaniem odbiorcy, trafianiem w ciemno jego zainteresowań, obiektywnymi trudnościami szeregowego zespołu i finansów. Niewątpliwie nieco racji w tym widzę, nie c o także one usprawiedliwiają owe pozycjonowanie ubiegłego sezonu w myśl zasady, że początki bywają trudne, ale, przeźród, smutne fiasko powinno być nauką na przyszłość, a nie powodem do opuszczania rąk, do wyciągania pochopnych wniosków, że środowisko nie odczuwa konieczności takiej sceny, że aktor traktuje swoją pracę na niej jako zesłanie.

Dalej powtarzam, że właśnie tam widzę najlepszych!

Dalej uporczywie dowodzę, że wielu wśród nas jest stęsknionych za przejawem nowych form teatralnych!

CIĄG DALSZY NA STR. 2



Na zdjęciu: Scena zbiorowa z kończącego sezonu „Żywota Józefa” Mikołaja Reja, w inscenizacji i adaptacji Kazimierza Dejmkę, w reżyserii Jitki Stokalskiej, scenografii Andrzeja Stopki. Recenzję z tego spektaklu zamieścimy w jednym z najbliższych numerów „Widnokręgu”.

FOT. Z. POSTEPSKI

Marek Adam Jaworski

# PIEKŁO MAJDANKA

Wyzwolenie Lublina w lipcu 1944 roku to równocześnie wyzwolenie Majdanka, hitlerowskiej fabryki śmierci.

Polsko-Radziecka Komisja Nadzwyczajna, powołana w 1944 r. celem zbadania wielkiej zbrodni na Majdanku, stwierdziła, że straciło tu życie około półtora miliona osób. Na terenie obozu znaleziono 820 000 par butów, 535 puszek z preparatem Cyklon B, których nie zdążyli wywieźć faszystowscy mordercy, mogłoby unicestwić połowę ludności województwa.

Komisja szczegółowo analizując mechanizm planowego ludobójstwa, podała do wiadomości, że krematorium z pięcioma piecami mogło spalić około 2 000 ciał na dobę. Jednego tylko dnia, 3 listopada 1943 r., rozstrzelano 18 400 osób, natomiast 21 października 1943 r. zatruto gazem 300 dzieci w wieku od 3 do 10 lat.

Dziś mamy już bogatą literaturę, której tematem jest właśnie Majdanek. Ukazało się wiele wspomnień więźniów, szereg relacji przechowywane Państwowe Muzeum na Majdanku. Szczególnie wstrząsające są opisy mordowania dzieci.

Oto wyjątek z książki Marcina Gryty pt. „Byłem numerem”: „...Drugiego dnia po obiedzie, kiedy komanda robocze wlokły się do pracy, zostaliśmy zatrzymani przed bramą wejściową. Ponieważ każdego dnia otwierano ją bez trudności, byliśmy bardzo zaniepokojeni. Stoiśmy więc przed bramą już dłuższą chwilę, coraz bardziej zniecierpliwieni. Naraz z piętego pola nadjechał ciężarowy wóz z przyczepą wypełnioną dziewczętami w wieku od 10 do 15 lat. Wiedzieliśmy, co to oznacza. Dzieci te wieziono do komory gazowej. Jęki i płacz dziecięcy wypełniał obóz taką rozpaczą, że wielu z nas, którzy widzieliśmy już niejedną gehennę ludzką, nie mogło tego znieść. Dusiliśmy się swą bezsilnością, przeklinałymi niemoc naszych rąk. Patrzyłem bez oddechu, jak samochód śmierci stanął przed barakiem łaźni. Esesmani zeskoczyli na ziemię. W czasie opróżniania przyczepy spychano i katowano dzieci, niektóre z nich rzucono wprost o ziemię, jak drewniane kłody.

Samochód zawrócił po nową partię ofiar. Kiedy ponownie przejeżdżał obok nas, jakaś dziewczynka, rozpoznawszy wśród zastygłej kolumny więźniów swego ojca, krzyknęła:

— Tatusiu, ratuj mnie!  
Ojciec zemdlął.

Scenę tę obserwował esesman Miller. Wolnym krokiem, z zapalonym papierosem w zwiędniętych wargach, podszedł do leżącego i kopnął go kilka razy. Następnie, jak gdyby nigdy nic, odszedł tym samym wolnym, stukającym krokiem. Na drugi dzień rano ciało więźnia odwieziono do krematorium.

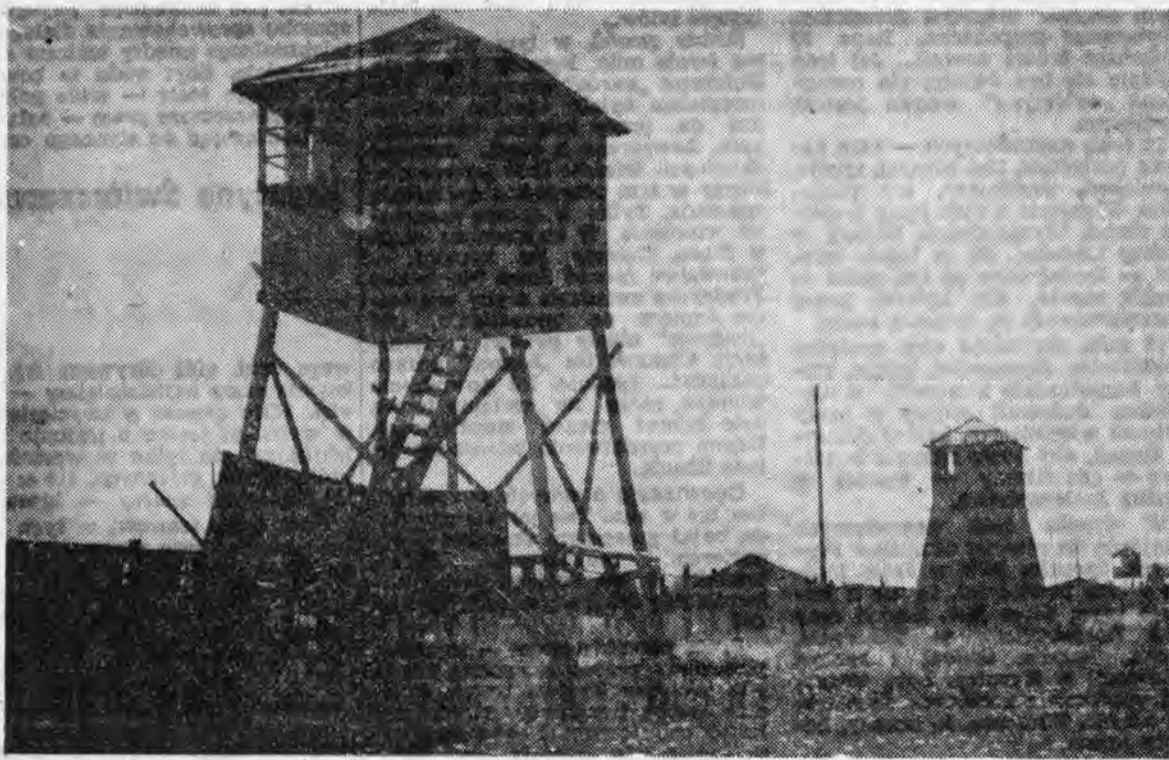
W kilka dni potem nadszedł transport Polaków wysiedlonych z powiatów zamojskiego, bilgorajskiego i tomaszowskiego. Wprowadzono ich na odgrodzony od reszty pola plac, położony za łaźnią. Obserwowaliśmy dokładnie, jak esesmani naprzód wprowadzili do łaźni męż-

czyźni. Mężczyźni po jakimś czasie wrócili. Potem kobiety, które także stamtąd wyszły. Na końcu około 200 dzieci, które już nie wróciły. Dzieci te zostały uduszone w komorze gazowej”.

Wstrząsający materiał stanowi też stenogram z procesu katów Majdanka. Był to pierwszy proces hitlerowskich zbrodniarzy wojennych w Polsce. Odbył się w Lublinie w dniach 27 listopada — 2 grudnia. Prokuraturę Sądu Specjalnego reprezentowali oskarżyciele publiczni: Henryk Cieśluk i dr Jerzy Sawicki. Kompletowi sędziowskemu przewodniczył Bohdan Zembrzusk. Sześciu oskarżonych — H. Vogel, W. Gerstemeier, A. Ternes, T. Schoellem, H. Stalp i E. Pohlmann zostało skazanych na karę śmierci. Wyrok wykonano publicznie 3 grudnia 1944 r. na Majdanku, tam, gdzie popełniali zbrodnie.

Stenogram z procesu jest dziś prawdziwym białym krukiem. Książeczka ze zdjęciami hitlerowskich ludobójców pt. „Majdanek — rozprawa przed specjalnym sądem karnym w Lublinie” ukazała się w Bibliotece Związku Patriotów Polskich w ZSRR. W przedmowie czytamy m. in.:

„Lubelska rozprawa sądowa była sądem nie nad tymi lub innymi zbrodniarzami, lecz nad samą zbrodnią Majdanka. Ta książka oskarża nie ludzi, ale system, który do tych zbrodni doprowadził, ideologię, która je na świat wydała, państwo, które je organizowało, rząd, który do nich podlegał. Majdanek — to nie tylko obóz ludzkiej męki, obóz zniszczenia i śmierci; to także symbol — symbol całego zezwolenia i niekwestionacji, której na imię faszyzm...”.



Majdanek dzisiaj

Fot. A. Polokowski

co się działo w obozie, jak to ocenia?

OSK.: To woła o pomstę do nieba.

PROK.: Dlaczego wobec tego oskarżony został w obozie?

OSK.: Bo byłem żołnierzem.

PROK.: Jaką karę powinni otrzymać ci, którzy przyczynili się do tych obozów koncentracyjnych?

OSK.: Powinni być razem z Hitlerem postawieni pod ścianę.

PROK.: Czy oskarżony sądzi, że całe postępowanie Hitlera jest temu winne?

OSK.: Hitler wprowadził w szal całą Europę... Jego ideologia podpałała cały świat. Problem zniszczenia Żydów jest nie do przeprowadzenia.

PROK.: Czy oskarżony tylko dlatego potępia ten problem, że jest nie do przeprowadzenia?

OSK.: To była głupota.

PROK.: Czy innego określenia oskarżony nie ma?

OSK.: Powiedziałem, że to woła o pomstę do nieba. Jestem rzymsko-katolickiego wyznania i niedobrze mi się robiło od tych zajęć.

PROK.: Co się stało z odzieżą i majątkiem pomordowanych?

OSK.: O odzieży nie wiem, ale pieniądze i kosztowności szły do Berlina.

PROK.: Czy to było systematyczne, jak u Niemców w zwycięstwie, zrobione i zapisywane?

OSK.: Wszystko zostało systematycznie zrobione. Oczywiście, co SS brała na lewo, tego rejestrować nie było można.

PROK.: Czy oskarżony wie, jak dawano jeść w obozie?

OSK.: Jedzenie było wcale niezłe.

PROK.: Czy oskarżony przy takiej pracy zgodziłby się na takie jedzenie?

OSK.: Nie zgodziłbym się.

Zeznaje oskarżony H. Stalp.

PROK.: Jak niszczone dzieci w komorze gazowej?

OSK.: Samochód nadjechał do komory gazowej, przy tym była obługa SD. Dzieci skierowano na pole kobiet i stamtąd przyprawiono 10 kobiet, które musiały rozbić dzieci. Potem dzieciom kazano iść do komory, opowiadano im bajki, że tam jest dobrze... Gdy były już w komorze, jeden z SD zamykał drzwi, potem czworokątnym otworem zostały wsunięte naboje gazowe.

PROK.: Czy były wypadki, kiedy ojciec musiał swego syna powiesić?

OSK.: Takie wypadki zachodziły w starym krematorium... Róż spędzono do starego krematorium 20—30 osób. Tu znajdowała się belka, w środku której był hak. Podstawiono tych ludzi pod tę szubienicę i ojcowie własnych synów musieli wieszać.

PROK.: Czy znane są oskarżonemu wypadki, że bito jeńców z trzymanych na Majdanku tak długo, póki nie oddawali kału i musieli następnie ten kał zjadać?

OSK.: Tak...

Nie można zapomnieć Majdanka, Oświęcimia. Nie można zapomnieć hitlerowskiego piekła. Dziś, gdy nad Łabą trwa heca rewizjonistyczna, gdy neofaszyzowska NDP w ciągu półtora roku istnienia zdołała skupić w swoich szeregach 20 tysięcy osób zrzeszonych w 350 organizacjach powiatowych, gdy partia ta zupełnie oficjalnie organizuje kongres w Karlsruhe, propagując te same hasła, które niegdyś wypisała na swoich sztandarach NSDAP — proces katów Majdanka z 1944 roku, oskarżenie całego systemu hitlerowskiego nabiera szczególnej wymowy.

P.S. Warto nadmienić, że stenogram procesu katów Majdanka otrzymał odfabrykowaną i pt. „Nigdy więcej” został wystawiony przez Teatr im. J. Osterwy w Lublinie. Rzeszowianie mogli ową wstrząsającą spektakl obejrzyć w czasie Rzeszowskich Spotkań Teatralnych w czerwcu br.

## Przed sezonem

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Dalej jestem zdania, że więcej tam chciałoby się entuzjazmu ze strony aktorów i samego teatru, ba, więcej dodać — że ów entuzjazm rozgryszyłby niedostatki artystyczne, że ambicja usprawiedliwałaby chyba niedostatki możliwości.

Dlatego słuszne wydaje mi się nawiązanie do ubiegłorocznych propozycji repertuarowych; dlatego dalej widzę tam miejsce dla Ionesco, Brożkiewicza, Witkacego, Różewicza; dlatego — niechętnie widziałabym Małą Scenę jako kabaret literacki, gdzie istnieje znowu dla aktora nowe niebezpieczeństwo „przestawienia się na dotychczas zupełnie u nas nieznaną formę dramatyczną, nie mówiąc już o niebezpieczeństwach tekstów — składek samego wyboru materiału — bazy literackiej, tak ważnej w dobrym kabarecie.

Dlatego wreszcie sensowna wydaje mi się propozycja — konkretnie przedstawiciela Ministerstwa Kultury i Sztuki, by spróbować (w miejsce kabaretu może?) właśnie na Małej Scenie zaprezentować poetów hiszpańskich w związku z 30 rocznicą wojny domowej, a tym samym spróbować z niej zrobić scenkę poetycką...

Kiedy już zrzuciła z głowy ten ciężar i przypomniała, że wlecze się za nami niezrealizowany repertuar dobrego gatunku, o pewnej konkretnej randze ideowej, że istnieje Siemion — człowiek, co obiecał się nam na parę dni wrześniowych ze swoim specyficznym kabaretem, że istnieje „Wieża malowana” — tak pięknie ponownie brzmiąca w Tyśmienicy, że w pobliskim Krakowie Michałowska z monodramami chętnie pewnie przyjąłaby zaproszenie, słowem — kiedyś jeszcze raz nieśmiało zdążyła przed sezonem spróbować udowodnić, że uważnie warto popatrzyć na działalność Małej Sceny — drugiego w pewnym sensie teatru w Rzeszowie, to już spokojnie mogę przejść do zasadniczego repertuaru, bo zno-

wu idzie o to, by nie był p o n i e j normalnych możliwości teatru...

Usłyszeliśmy na ostatniej naraździe jego bardzo płynny kształt, sporo jednak mówiący o przyszłym sezonie. Któż nie ucieszy się z „Nocy Listopadowej” Wypiańskiego? Któż nie ciekaw dawno niegranego „Mizantropa” — tej współcześniejszej dziś może brzmiejącej komedii Moliera? Któż może protestować przeciw inscenizacjom schillerowskich „Pastorałek” czy „Kramu z piosenkami”? Brechtowskiej „Opary za trzy grosze”? Któż przy nich jednak nie będzie miał obaw, jak potraktuje teatr ową warstwę dźwiękową, decydującą o ich powodzeniu? Któż niechętnie przyjmie w małym mieście Thorntona Wildera z „Małym miastem” — kwintesencją prowincji?

Któż jednak musi przypomnieć, że dalej gdzieś tam została w sferze imaginacji „Łaźnia” Majakowskiego, o której mówił się przed rokiem i która, dla mnie przynajmniej, mogłaby być próbą przedstawienia radzieckiej klasyki, a przy tym jednym z niewielu w naszym mieście spektakli publicystycznych, zaangażowanych; któż musi przypomnieć niezrealizowane „Tango”, które w przypadku odrzucenia go z repertuaru tegorocznego ma szansę za lat parę uplasować się na podobnie „klasycznych” pozycjach, co Ionesco, Beckett czy Dürenmatt...

Uplynniam też ubiegłoroczne remanenty przed sezonem i w dobrej wierze, że stanowią dla aktora furtkę do sprawdzenia jego możliwości dramatycznych, że sprawują nimi jego „lepszą część”, w której pomieszczenie sukcesu artystycznego za wszelką cenę, każdym wysiłkiem, ewokowanym dobrą, zdrową ambicją. I powtarzam po raz pewnie setny, że wolę źle zagrana Babcie niż Dulską — obie

to równie trudne role, tyle, że w innym znaczeniu, co zresztą znowu nie wyklucza zrobienia arcydzieła z Dulskiej, tyle że czas niesprzyjający naturalizmowi i teatrowi mieszczańskiemu...

Nie można także nie życzyć teatrowi poprawy warunków pracy, aktorom łatwiejszej sytuacji mieszkaniowej — szczególnie dziś zaniedbanej, a przeciw mającej zasadnicze znaczenie tak dla tych, co pozostali jak i dla tych, co zamierzają osiedlić się w Rzeszowie oraz rytmicznej gospodarki finansowej, która jak słyszeliśmy na przykładzie ubiegłego sezonu, zbyt dużo pusze nerwów ludziom teatru, choć dla widza jest żadnym usprawiedliwieniem z niezrealizowanych zamierzeń.

Nie można także nie wysunąć właśnie dziś, przed ważkimi laty 1986/87 zupełnie autentycznych żądań publiczności, że chce ona teatr zaangażowanego we współczesność, żywego, grzebiącego ideę sezonów z przypadkowym repertuarem, sezonów, które toczą się leniwie w nurcie życia intelektualnego miasta, bywały zaledwie od czasu do czasu rozświetlane błyskiem dobrych przedstawień. Pierwsze przyszły i pewne jako pozycja — „Trzy siostry” Czechowa w reżyserii St. Bielińskiego anonsują w tej chwili; miejmy nadzieję, że październikowe wieczory teatralne dopiszą mu pozytywne oceny...

Tę garść luźnych uwag wysypałam przed sezonem, przekonana, że każda uwaga wyjdzie mu na dobre. Tak jak wyjdzie na dobre nawiązanie do tradycji spotkań ze środowiskiem Rzeszowa — miasta entuzjastycznego się każdym dobrym teatrem, przywiązane przy tym do własnego już od przeszło dwudziestu lat. Miasta, które jak żadne inne żyje spotkaniami teatralnymi, które łatwo przyjmuje stałe inicjatywę i łatwo włącza je do własnej tradycji.

K. ŚWIERCZEWSKA

A oto fragmenty stenogramu. Zeznaje oskarżony H. Vogel.

PRZEWODNICZĄCY: Czy oskarżony może sobie przypomnieć, ile wysłano odzieży do Niemiec w czasie jego działalności?

OSKARŻONY: Przypominam sobie, że wysłano kolejną 17 wagonów odzieży.

PROKURATOR: Czy oskarżony wiedział, co się dzieje w obozie? Gdy pojechał na urlop, czy widział się z żoną, czy opowiadał swojej żonie, co słyszał na Majdanku?

OSK.: Tak jest.

PROK.: Dlaczego oskarżony w śledztwie powiedział, że nie opowiadał żonie o tym, bo się wstydział?

OSK.: Nie o wszystkim opowiadałem, tylko częściowo.

PROK.: Dlaczego więc oskarżony mówił, że wszystko przed nią ukrywał? W liście do żony oskarżony przecież pisał: „wstydziałem się tego, że jestem Niemcem”.

OSK.: Moja żona wstydziała się o tym opowiadać, bo się wstydziała, że jej mąż jest SS-owcem.

Zeznaje oskarżony A. Ternes.

PROK.: Oskarżony słyszał o tym,

## Przyszłość festiwalu w Karlovych Varach

Tegoroczny jubileuszowy XV Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Karlovych Varach ocenili krytycy czechosłowaccy jako najlepszy w historii tej imprezy. Stałość programu konkursowego wzbudziła też dyskusję dotyczącą przyszłości karlovovarskich festiwalu. Jej uczestnicy zastanawiali się, czy wobec inflacji tego rodzaju imprez należy je kontynuować, a jeżeli tak — to w jakiej formie.

Zabrał w tej sprawie głos długoletni przewodniczący jury w Karlovych Varach, rektor praskiej Szkoły Sztuk Pięknych, Antonín Brouil, wypowiadając się nie tylko za dalszym istnieniem festiwalu, ale nawet za organizowaniem go co roku. Obecnie odbywa się co dwa lata na zmianę z moskiewskim.

Zdaniem Brouila, podstawowym elementem przyszłych festiwalu w Karlovych Varach powinny być dyskusje Wolnej Trybuny oraz sympozjum, na którym prezentują swe filmy twórcy związani z młodymi kinematografami krajów Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej.

Poruszając sprawę utrzymania bądź też zrezygnowania z konkursowego charakteru festiwalu, A. Brouil stwierdził, że należałoby przyjąć zasadę przyznawania nagród przez jury szeregu międzynarodowych organizacji. Pozwoliłoby to na dokonywanie oceny filmów z różnych punktów widzenia. Sam Brouil jest natomiast przeciwnikiem utrzymania dotychczasowej zasady jednego oficjalnego międzynarodowego jury.

Zdzisław Kozioł

Z polsko-bułgarskich kontaktów kulturalnych

# TRADYCJE I WSPÓŁCZESNOŚĆ

**W**ŚRÓD LICZNYCH OBIĘKTÓW zabytkowych Warny, miasta, które pamięta czasy sprzed nowej ery, uwagę Polaków przyciąga Mauzoleum Władysława Warneńczyka. Przewodnicy bułgarscy uprzedzają naszych rodaków, że jest to budowla raczej symboliczna, skromna, wzniesiona przed ostatnią wojną. Przed kilku laty zaś — dla upamiętnienia wspólnych walk z najazdem tureckim — w pobliżu Mauzoleum założono okazały Park-Muzeum Braterstwa Broni.

Znacznie wcześniej, bo w 1856 roku w czasie wojny krymskiej, Polacy wnieśli na jednej ze starożytnych mogił pomnik z napisem: „Królowi Władysławowi III Jagiełłończykowi i rycerzom polskim poległym pod Warną dnia 10 listopada 1444 roku”. W rok później pomnik zburzyli Turcy, lecz pamięć o dwudziestoletnim królu, którego waleczność podziwiał nawet kronikarz turecki, przetrwała. W 1924 roku z inicjatywy rządów: polskiego, węgierskiego i bułgarskiego wzniesiono skromniutki pomnik z dwóch bloków granitowych.

Mauzoleum, zbudowane w 1935 roku, znajduje się na miejscu zburzonego przez Turków pomnika z 1856 r. Napis w języku polskim mówi o bohaterstwie „odważnych synów narodu polskiego, węgierskiego, rumuńskiego i czeskiego, którzy oddali swe życie w obronie wolności i niepodległości narodów europejskich przed tureckimi najazdami”. Różnorodność przewodników informują zagranicznych turystów, że wdzięczny naród bułgarski czci pamięć poległych wojowników....

W Parku-Muzeum stoją, doskonale zharmonizowane z bujną roślinnością, bloki kamienne z godłami państw uczestniczących w bitwie pod Warną, a w niedużym, stylowym budynku właściwego Muzeum — ich dawne i współczesne flagi oraz broń żołnierzy i rycerzy tragicznie zakończonej wyprawy.

Zwiedzając Park-Muzeum odnosi się wrażenie, że jest on nie tylko obiektem turystycznym, mającym przyciągać cudzoziemców; Park-Muzeum jest dowodem pietetyzmu z jakim Bułgarzy odnoszą się do pamiętek historycznych, a braterstwo broni ma w tym kraju tę samą wymowę co i w Polsce.

Warneńczyk stał się symbolem polsko-bułgarskich związków niezależnie od oceny ówczesnego i późniejszego zaangażowania się Polski w wojny z Turcją poza granicami Rzeczypospolitej. Wyprawa Warneńczyka obrosła w bieglem lat legendami, bo jej klęska na stulecia przesądziła los ludów bałkańskich, zdaje się przesłaniać późniejsze związki polsko-bułgarskie, które w pewnym sensie rzutują na współczesność. Chodzi mi mianowicie o współdziałanie polskich i bułgarskich emigrantów w Rumunii w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego stulecia.

Polaków i Bułgarów jednoczył wówczas wspólny los — niewola. Współpracę nawiązano mimo odmiennych warunków wynikających

choćby z faktu, że jednym z zaborców Polski była Rosja, która walcząc z Turcją, miała niebawem przyczynić się do powstania niepodległego państwa bułgarskiego po blisko pięćsetletniej niewoli, nazywanej przez narody bałkańskie jarzmem tureckim.

Dziewiętnastowieczna karta polsko-bułgarskich związków jest mało znana. Tym większa zasługa bułgarskiego literata i działacza kulturalnego Wiczo Iwanowa, który m. in. przypomina o znaczeniu polskiej literatury, o zainteresowaniu, jakie udzieliła w środowiskach emigracji bułgarskiej.

W Iwanowa, skromnego, o ujmującym sposobie bycia Bułgara, poznałem przed kilku laty w Warszawie podczas spotkania autorskiego: swoim wystąpieniem, a mówił piękną polszczyzną, oczarował wprost młodą publiczność. Mówił o Bułgarii i polsko-bułgarskiej współpracy kulturalnej, przemilczał zaś swoją działalność literacką. Dopiero od jednego z jego warszawskich przyjaciół dowiedzieliśmy się, że Wiczo Iwanow — dyrektor Ośrodka Kultury Bułgarskiej w Warszawie — jest autorem książki o Polsce, a szczególnie upodobał sobie warszawską Starówkę i jej mieszkańców, których spotykamy u bułgarskiego pisarza.

Jego kilkuletnia działalność w Polsce zyskała Bułgarii wielu szczerych przyjaciół. A że sam jest przyjacielem Polski, daje tego liczne dowody nawet po opuszczeniu naszego kraju. Nazwisko Wiczo Iwanowa znane jest czytelnikom „Życia Warszawy”, które zamieszcza jego artykuły o różnorodnych przejaściach, dawnych i obecnych, polsko-bułgarskiej współpracy kulturalnej.

W jednym z artykułów pisze W. Iwanow o współpracy polskich i bułgarskich emigrantów w Rumunii, pisarzy i działaczy wolnościowych, o zainteresowaniu jakie wzbudziła wśród nich polska powieść historyczna. Podkreśla przy tym jej znaczenie dla budzenia świadomości narodowej Bułgarów w okresie tzw. Odrodzenia bułgarskiego, które przebiegało pod hasłem „Śmierć lub wolność”. W 1864 roku poznają rewolucyjni demokraci bułgarscy powieści Tomasza Jeża, który tematycznie do swych utworów czerpał z przeszłości Słowian bałkańskich, w kilka lat później — dzieła J. I. Kraszewskiego, a w 1875 roku powieści M. Czajkowskiego — „Kyrdzali”.

Polska powieść historyczna, opiewane w niej bohaterstwo i humanizm, trafiło na podatny grunt, a jej znaczenie było chyba tym większe, gdyż pięćsetletnia niewola zahamowała proces powstawania własnej, narodowej literatury bułgarskiej.

Największą popularność zdobył Henryk Sienkiewicz, z którego twórczością zetknęli się Bułgarzy już po odzyskaniu niepodległości. Pierwszą jego powieścią przełożoną na język bułgarski było „Quo vadis?”.

„Pierwiastek bohaterski — pisze Iwanow — zawarty w utworach Henryka Sienkiewicza przynosi ze sobą optymizm, wiarę w prawdę, zwycięstwo w walce o wolność (...) Imponujące i sugestywne obrazy Sienkiewicza przeniesione na grunt bułgarski ze swym bohaterskim duchem i słowiańską serdecznością weszły na zawsze w świadomość i uczucie narodu bułgarskiego.

W percepcji czytelników bułgarskich obrazy te przeszły ów dziwny proces przemian, w których narodowy pierwiastek polski nabrał znaczenia ogólnoludzkiego, stał się bliski narodowi bułgarskiemu. Z tego wspaniałego internacjonalizmu obrazów Sienkiewicza i właściwego wielkim dziełom sztuki i literatury, korzystaliśmy w przeszłości, korzystamy również i teraz. Ten związek między naszym narodem a Sienkiewiczem świadczy najdobitniej o tym, że sławny pisarz polski, laureat nagrody Nobla z roku 1903, którego twórczość odgrywa taką rolę w naszej literaturze, jest nie tylko pisarzem polskim, lecz również i pisarzem bułgarskim, nauzczykiem pokoleń”.

W sympatii, jaką Bułgarzy darzyli Sienkiewicza świadczy również elegia zadedykowana mu przez

Iwana Warowa, twórcę pierwszej bułgarskiej powieści historycznej.

Zapoczątkowane w drugiej połowie XIX wieku kontakty rewolucyjnych demokratów bułgarskich z polską myślą literacką rzeczywistość rzutują na współczesność. Nie słabnie popularność polskiej powieści historycznej, a świadczą o tym chociażby wznowienia dzieł Sienkiewicza. Jego zaś twórczość zajmuje jedno z czołowych miejsc na wydziale literatury słowiańskich socjalistycznego uniwersytetu. W Bułgarii ukazały się utwory wielu innych polskich pisarzy i poetów, że wymienię Mickiewicza, Stowackiego i Konopnicką, ze współczesnych zaś — Broniewskiego i Tuwima.

Tłumaczami polskiej poezji są wybitni poeci bułgarscy: Dora Gabe, Elizaweta Bagriana, Błaga Dymitrowa, Dymitr Pantalejew czy Peter Karangow. Cenionym znawcą polskiej literatury jest profesor Peter Dinekow, pod którego redakcją ukazały się wiersze Broniewskiego i Tuwima. Ostatnio bułgarscy czytelnicy zapoznali się z twórczością K. I. Gałczyńskiego w świetnym przekładzie popularnego poety Pyrwana Stefanowa, a redaktorem tego tomu wierszy jest tłumaczka „Pana Tadeusza” — Błaga Dymitrowa. Warto tu jeszcze dodać, że dla upowszechnienia literatury polskiej szczególne zasługi położyło wydawnictwo „Narodna Kultura”.

Sporo można by pisać także o wielu innych dziedzinach polsko-bułgarskiej współpracy kulturalnej, o licznych imprezach, m. in. odbytych niedawno Tygodniu Kultury Polskiej w Sofii, zorganizowanym z okazji obchodów Tysiąclecia Polski i Święta Odrodzenia. Polska jest w tym kraju rzeczywistością popularną. Duża w tym zasługa Ośrodka Kultury Polskiej w Sofii, który współpracuje z licznymi środowiskami twórczymi. No. dla upowszechnienia wiedzy o Polsce, wspólnie z radiem bułgarskim, Ośrodek zorganizował konkurs dla młodzieży. Powodzeniem cieszą się także kursy języka polskiego (również Ośrodek Kultury Bułgarskiej jest organizatorem kursów języka bułgarskiego w Warszawie, Krakowie i Lublinie, z których rocznie korzysta blisko 300 Polaków).

Skoło już mówimy o nauce języków obcych, warto wspomnieć, że Bułgarzy odznaczają się wprost fenomenalnymi zdolnościami lingwistycznymi. Spotykałem wielu Bułgarów mówiących płynnie po polsku, a nie byli to bynajmniej absolwenci filologii polskiej. Język nasz poznali w wyniku kontaktów z Polakami. Po polsku mówią ekspedientki w Warnie, Złoty Płaskach czy innych czarnomorskich kurortach odwiedzanych przez Polaków.

Garść przytoczonych faktów i uwag nie wyczerpuje oczywiście tematu, jest tylko przykładem trwałych związków kulturalnych łączących Polskę i Bułgarię. Nasuwa się tu jednak istotne pytanie: czy w takim samym zakresie upowszechniana jest w naszym kraju kultura bułgarska?

Bułgarzy, z którymi ostatnio rozmawiałem, wyrażają zadowolenie z rosnącego w Polsce zainteresowania ich ojczyzną. Spore nadzieje wiąże z podpisaną niedawno umową między zarządami głównymi związków literatów obu krajów; należy się spodziewać, że jej realizacja zwiększy nader skąpą dotychczas liczbę przekładów z literatury bułgarskiej. O zapotrzebowaniu na w i e d z e o tym kraju świadczy chociażby popularność różnorodnych imprez, które w Warszawie lub innych miastach, organizuje Ośrodek Kultury Bułgarskiej. Godną podziwu jest pracowitość 3-osobowego personelu Ośrodka.

Nie odpowiedziałem jednak na wysunięte wyżej pytanie. A podobne nasunęło mi się również podczas pobytu na Ukrainie. O problemach tych rozmawiałem także z kolegami i znajomymi po ich powrocie z Czech i Słowacji. Wydaje się, że niektóre zagraniczne instytucje kulturalne czynią dla upowszechnienia polskiej kultury więcej niż ich odpowiedniki w Polsce.

Wspominam o tym dlatego, że jeden z postulatów na Kongres Kultury Polskiej dotyczy śmielszego propagowania za granicą naszej kultury. Ale zachodzi także konieczność uważnego śledzenia za zdobyczami kulturalnymi innych narodów, informowania o nich społeczeństwa oraz upowszechniania ich w naszym kraju.



PORANNE ZAKUPY

FOT. JANUSZ WITOWICZ

## Świat słucha muzyki polskiej

W pierwszym półroczu bieżącego roku nastąpiła dalsza „ekspansja” naszej muzyki na estrady świata. Zjawisko to znajduje wyraz przede wszystkim w dużej liczbie zagranicznych wykonawców utworów polskich kompozytorów.

Według danych udostępnionych przez Związek Kompozytorów Polskich, w tym okresie w salach koncertowych kilkunastu krajów, nie tylko europejskich, ok. 150 razy rozbrzmiewały dzieła naszych twórców. W liczbie tej mieszczą się światowe prawykonania 5 kompozycji VII Koncertu Skrzypcowego (Bruksele) i Matego Tryptyku Fortepianowego (Amsterdam) Grażyny Bacewicz, Pasji wg św. Łukasza (Muenster) i „De natura sonoris” (Royan) Krzysztofa Pendereckiego oraz „Muzyki na taśmie magnetycznej” i obój solo” Andrzeja Dobrowolskiego (Berlin zach.). Jak wiadomo, szczególnie sukces przyniosło prawykonanie Pasji K. Pendereckiego. Pod względem liczby wykonawców czołową pozycję zajmują utwory Grażyny Bacewicz (9 kompozycji — 30 wykonawców), Tadeusza Bairda (9 utworów — 20 wykonawców estradowych, ponadto balety: „Nierozłączni” wg „Ekspresji” w repertuarze zespołu holenderskiego i „Erotyki” w programie baletu Béjarta). Wifolda Lutostawskiego i Krzysztofa Pendereckiego (po 6 utworów).

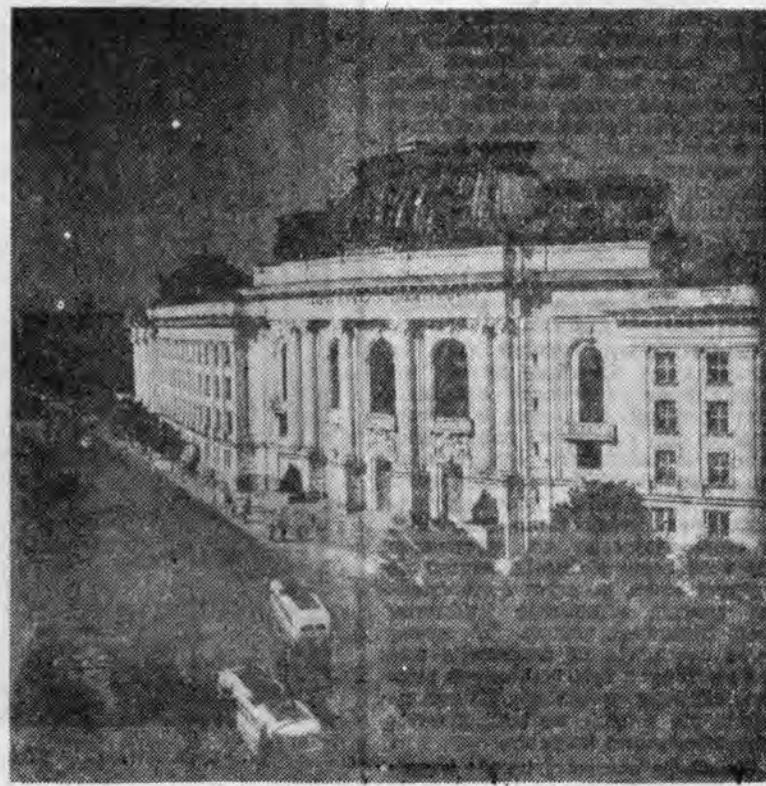
Poza wykonaniami poszczególnych utworów, w wielu krajach odbywają się koncerty poświęcone specjalnie muzyce polskiej. Jedną z tego rodzaju imprez był koncert słynnego kwartetu filadelfijskiego w nowojorskim Carnegie Hall, gdzie na program złożyły się dzieła Karola Szumanowskiego, Grażyny Bacewicz, Tadeusza Bairda i Krzysztofa Pendereckiego.

Jednym z przejawów umacniania się czołowej pozycji Polski w międzynarodowym życiu muzycznym jest również rozszerzający się zasięg naszego „eksportu” kulturalnego. Wystarczy wspomnieć, że w ciągu 6 miesięcy tego roku polscy soliści dali 400 koncertów w 24 krajach europejskich oraz w Japonii, Kanadzie, USA, Izraelu i na Kubie, a zespoły 15 razy udawały się na zagraniczne tournée. Szczególnie cenne są sukcesy odnoszone przez naszych artystów w krajach skandynawskich, z którymi dopiero od niedawna utrzymujemy stałe kontakty. W tym roku np. Wielka Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia koncertowała w Norwegii, a dyrektor tego zespołu Jan Krenz był częstym gościem w Skandynawii, gdzie oklaskiwano również chór Stulligrosa, wielu solistów i dyrygentów.

Dla dopełnienia obrazu tegorocznego dorobku naszych muzyków dodajmy, że konkursy przysporzyły

im kolejnych laurów. W dziedzinie wykonawstwa możemy poszczycić się I nagrodą dla pianisty Zygmunta Krauzego na Międzynarodowym Konkursie Wykonawców Muzyki Współczesnej w Utrechcie oraz VI nagrodą zdobytą przez gdańską śpiewaczkę Urszulę Szerszeń (sopran koloraturowy) na konkursie zorganizowanym w Brukseli przez „Mozartium”. Dzięki tej nagrodzie artystka otrzymała angażement do kilku zagranicznych teatrów operowych.

Pośród kompozytorów najpoważniejszy sukces odniósł Tadeusz Baird, którego „4 dialogi na obój i orkiestrę kameralną” zajęły I lokatę na Międzynarodowej Trybunie Kompozytorów w Paryżu. Na konkursie kompozytorskim z okazji „Praskiej wiosny” w kategorii utworów chóralnych I nagroda przypadła w udziale Romualdowi Twardowskiemu za „Sonety Petrarki”. „Obrazy Świętokrzyskie” Wifolda Rudzińskiego otrzymały I nagrodę na konkursie z okazji 200-lecia Towarzystwa Muzycznego „Harmonien” w Bergen (Norwegia), natomiast „Kolorowe obrazy” Eugeniusza Dzewulskiego zostały wyróżnione na konkursie ks. Monaco Rainiera III.



Gmach Uniwersytetu Państwowego w Sofii

Cecylia Błońska

# ŚWIT, DZIEŃ I NOC NA RÓWNIKU

Pomna życziwych przestróg, jakich wiele udzielono mi przed wyjazdem, bym nie spała blisko otwartego okna, bo łatwo... wleźć może lew, wpaść motyl o straszliwie gryzącej szczękę itp. itd., byłabym się raczej spodziewała czegoś z tych rzeczy...

Ale, że o świcie na równiku, w sercu afrykańskiej krainy zapieją koguty, zaszyte w gęstwinie wielkich bezwonnnych fiołków, w konarach drzew mimoz, i że to pianie, tak bardzo swojskie, przypominać mi będzie każdego ranka polską wioskę czy podmiejskie gospodarstwo, tego bym nie przypuszczała.

A te okrutne zwierzęta, całą groźną i egzotyczną afrykańską faunę, w godzinę później oglądam w Muzeum Narodowym w Nairobi. U samego wejścia do masywnego budynku, paradnie wyczyszczone, lśnią dekoracyjne armatki: oczywiście żaden turysta nie ominię okazji, by nie uwiecznić się na tym tle, a bardziej przedsiębiorczy ad hoc zapraszają do grupowego zdjęcia wykrochmalone, nieomal chemicz-

Wypisuję sobie w notesie nazwy minerałów, kopalni, jakie eksponowano w galerii na piętrze, dokąd przez grube szkło szyb dociera wspaniałe, jasne światło słońca, bez jego żaru. Złoto, malachit, kobalt, syderyty, magnetyty, aluminium: to Kenia i inne kraje Afryki prezentują swoje bogactwa naturalne.

Tuż za mną nad zbiorami pochylała się rodzina. On spokojny, niestary mężczyzna, ona w prostej, jasnej sukience z czarnym, uspiołym dziecięciem na ramieniu, tak malutkim, tak cichym, jakby to była lalka. Za nimi kilkunastu małych Afrykańczyków. Mimo upału są w tradycyjnych granatowych szkolnych mundurkach, a śnieżna biel sztywnych koszulek ślicznie odbija od czarnych buziaków. Młoda nauczycielka utrzymuje całą grupę w ciszy i spokoju. Słuchają jej objaśnień z zainteresowaniem, a ona z kolei chętnie zezwala im na odpoczynek, gdy jeden koło drugiego grzecznie usiedli na gęsto rozstawionych ławeczkach.



Ratusz Nairobi — stolicy afrykańskiej krainy — stawia do dyspozycji wielkich konferencji i narad ten zespół pomieszczeń, sal i ogródków.

Zwiedzanie rezerwatu rozpoczynamy od „słowa wstępnego” w obszernym pawilonie pograżonym w efektywnym półmroku, jaki z lekka rozpraszają czerwone kule lamp; nie jest to zwykłe wprowadzenie, do którego przywykliśmy, oglądając muzea świata. Czarny, bardzo wyształcony przewodnik w miły sposób wita się z każdym z grupy (jest to zespół naukowców, uczestniczących w afrykańskiej konferencji). Wieść, że przybyłam z tak daleka, z Polski, powtarza nieco zdziwiony, wylewnie ściskając mi rękę.

Wjazdowa brama nie odbiega zbyt od tego rodzaju wjazdów, otwierających drogę do etnograficznych parków, za to sam rezerwat dostarcza niecodziennych wrażeń.

Usadowiono nas w dwu mikrobusach, a ponieważ przybyliśmy razem, przewodnicy prowadzący wozy trzymać się już będą przez cały czas w pobliżu. Gdy w pewnej chwili gubimy z pola widzenia tamten mikrobus, nie bardzo rozumiem niepokój, jaki wyraźnie maluje się na twarzach moich współtowarzyszy. A jednak czekamy, aż na drodze, przecinającej czerwonawą „kawową” ziemię, ukaże się drugi autobusik.

Może te zwierzęta, tak zupełnie nie zwracające uwagi na ludzkich intruzów, lew, który właśnie ucina południową drzemkę, krokodyl łagodnie figlujący w bulgocącej wodzie, w każdej chwili okazać mogą swoje okrucieństwo?

— Dzień dobry mister babbun — woła fotomator, przez szybę wozu fotografujący statecznego pawiana. Malpa z godnością oddala się w krzaki. Nie opodal stado strusi, wielkich ponad wyobrażenie, dziwnie smutnych, na swych nieopierzonych nogach przechadza się tam i sam, amijając krągłe lepianki kikutów.

Przy wyjściu, wypuszczone z mikrobusów dzieci figlują na swobodzie ile się da, a troskliwie mamy poją je koca-colą z „rezerwatowego” kiosku. My zaś oglądamy zwierzęta, odgródzone zieloną siatką wśród zielonych drzew tzw. orfelinażu. Są już trochę sennie w przedwieczornej godzinie. Za to szakale nerwowo, niespokojnie biegają w koło, jakby wleźły gdzieś niedaleko.

Gęsta, nieprzenikniona, rzeźwa noc spada na drogę, gdy wracamy ku miastu. Pierścień murzyńskich dziedziń, otaczający śródmieście Nairobi, rozbliskuje światłami. Od chwili, gdy kraj ten ogłosił swoją niepodległość, wiele zmieniło się w murzyńskich domostwach. (Wczoraj w urbanistycznej pracowni Nairobi pokazywano mi plany nowych dzielnic). Jeszcze przed trzema laty oświetlali oni swoje mieszkania przeważnie płomykiem naftowej lampy.

Z okien bliższy elektryczne światło, dobiega niski gardłowy śpiew, radiowa muzyka.

Ciągłe nie syci wrażeń (jak to zazwyczaj z turystami bywa) nie rezygnujemy z nocnego oglądania filmu pod gołym niebem. Na szczyt wzgórza nie opodal od miasta zdążamy za łańcuchem samochodów, ku ekranowi z dala widocznemu szeroką ramą kolorowych żarówek.

Kuzynek, który mnie przywiózł, ze słupa stojącego na obszernym placu odczepia głośniki i wrzuca do wnętrza wozu, po czym z młodzieńczą energią organizuje kulinarną część filmowego seansu. W nocny chłód zakradają się smakowite wonie pieczonych ryb, smażonych mięs, kelnerzy w białych kitlach uwijają się między autami, przynosząc zamówione potrawy.

Wokół, po soczystej trawie biegną dzieci w pidżamkach, w powiód-

czystych nocnych koszulkach, co na pierwszy rzut oka wygląda zabawnie. To przewidujący rodzice tak przysposobili swoje pociechy; gdy pierwszy akt amerykańskiego filmu dobiega końca na ekranie, a wewnątrz samochodów rozbrzmiewa z głośników nudnawy dialog bohaterów filmowej ramoty, dzieciaki śpią snem sprawiedliwych.

Nocne kino na równiku ma swój urok. Prawdę mówiąc, psuje go trochę słaby film, obrazujący perypetie kandydata na astronautę, uwikłanego w romans, w zaraniu nieco podejrzany. Później wszystko okazuje się all right, gdyż ukocha-

na kobietka jest wprawdzie agentem, lecz wyłącznie... firmy produkującej żywność dla astronautów. Późno wracamy do stolicy. Jest pustawo. W centrum gra jeszcze wielkie kino. „My fair Lady” idzie non stop, od rana do północy.

W bujnych pasach tropikalnej zieleni otaczających śródmieście wieloletnią wstęgą słychać szepty, przyciszone rozmowy, śpieszne kroki.

Za kilka godzin w mieście na równiku, które liczy nie więcej ponad 50 lat, koguty obwieszczą mi koniec afrykańskiej nocy...



W rezerwacie można oglądać lwy tylko przez szybę szczelnie zamkniętego mikrobusu. Nawet i drzemający król zwierząt może okazać się groźny i niebezpieczny... FOT: S. SKULINA

nie czyste siostry, z jakiejś, bliżej mi nieznannej misji, mającej swą siedzibę w sąsiedztwie muzealnego budynku.

Wnętrze muzeum wystawionego w roku 1930 uderza znakomitą klimatyzacją, wgląd zaś bodaj pobieżny w bogactwo zbiorów, jakie tu zgromadzono potwierdza dowodnie, że miły chłodek, rześkie powietrze, wentylatory pokonujące przenikliwą woń konserwacyjnych środków, niezbędne są przy zwiedzaniu nieco wyczerpującym. Trzeba by dobrych kilka dni poświęcić na to, by zgłębić poszczególne działy, tak atrakcyjne różnorodnością swych ekspozycji.

To tutaj przybysz z Europy, którego na tę podróż najbliżsi pragnęli wykwiłpować w tradycyjną siatkę na motyle (nie mówiąc o hełmie tropikalnym, jakiego tutaj już nikt nie nosi) widzi okazy znane dotychczas z fantastycznych filmów. Akwarie i całe sztuczne jeziora, w nich misternie wykonane ryby żółte, białe, złote, czarne, ryby-giganty, ryby — unikaty, których żywe „modelki” znikły już prawdopodobnie z przyrodniczej mapy świata. I motyle barwne jak tęcza pajka, niewiarygodnie wielkie, niczym niezbyt gustowna teatralna dekoracja. Ptaki, których na próżno by szukać w albumie, z jakim niedawno wyszedł nasz „Ruch”, popularyzując w swoich kioskach elementarne wiadomości z dziedziny afrykańskiej ornitologii.

Są też przed potężnym ptakiem o skomplikowanej nazwie bycnistes brevis i potężnym dziobie, w duchu dzielącym niebu, że spotkanie z tym reprezentantem afrykańskiego piśmego świata następuje tylko w ramach muzealnego poznawania. Obok strusiej rodziny z efektywnie oświetlonej gąbłoty wygląda poczyty białe bocieki, stojący na jednej nodze, tak jakby co dopiero słońca strzechy gdzieś w kraju opuścił. W sąsiedztwie afrykańskich słoniów, nosorogów, lwów, jakże wesoło i niewinnie wygląda nasz wypchany lisek ze sprytną mordką, jednym oczkiem zapatrzonej w stronę potentatów afrykańskiego buszu, drugim w kierunku całej rodziny małych (taki prawdziwie lafontainowski chytruszek).

— Nie garbcie się — słyszę nagle jak zwraca im uwagę poprawną angielszczyzną i mały natychmiast przybierają poprawną postawę.

Małżeństwo z dziecięciem śpiącym słodko i smacznie, inne pary i grupy, których sporo zeszło się w muzeum, z zachwytem zatrzymały się przed wielkim freskiem: na olbrzymim kamieniu relief przedstawia prehistorię Tanganiki. Rzeźba jest gigantyczna, bardzo dosłowna, bez żadnych plastycznych skrótów, a przy tym sugestywna. Widać, że artysta pragnął w niej uwiecznić nie tylko zamierzchłe dzieje, ale i moment przebudzenia Afryki.

W hallu na parterze, dokąd wracam, by nabyć trochę reprodukcji i gdzie otrzymuję barwną, kolorową kolekcję „kartek” z nosorogami, słoniami, z bongu, moją uwagę zwraca wielka, wspaniale utrzymana księga, z pietyzmem ustawiona na specjalnym stojaku: pochodzące z r. 1632 drugie wydanie Szekspira, na tęgim, nie poddającym się wiekom papierze, drukowana „Tragedia Juliusza Cezara”.

— To jeden z darów — objaśnia mnie dyrektor muzeum. — Kilka całych działów ufundowali protektorzy, przyjaciele, wielkie osobistości. — Prowadzi mnie do obszernej sali, którą Keni darował Windson Churchill, do lśniącej białej marmuru i bogactwem złotych galerii, ofiarowanej przez Mahatmę Gandhiego.

Safari! Safari! Wyjazd do Królewskiego Parku Narodowego Nairobi, do rezerwatu na Górze Kenia, do rezerwatu Marsabit, co krok proponują mniejsze i większe przedsiębiorstwa, firmy spedycyjne, biura turystyczne, indywidualni agenci „małej przygody” w buszu.

Institucjom, wielkim organizacjom pragnącym zorganizować coś w rodzaju wczaso-konferencji na wielką skalę w egzotycznej scenarii, z europejskim zapleczem, swoje usługi proponuje Ratusz w Nairobi. Stawia do dyspozycji zespół budynków, wzniesionych stosunkowo niedawno, w r. 1957, wielkie sale konferencyjne, widowiskowe, balowe, zachwała ogrody i fontanny, mające stanowić atrakcyjne interwala w poważnych obradach. W ilustrowanym przewodniku Ratusza niemało miejsca zajmują reklamy rezerwatów.

Emil Granat

Dokąd prowadzi czas?

konary grabin  
dudnią z lasu  
ugięte w koła.

Dokąd?...

gwiazdy utulone na brzegu snów  
zimnych jak  
pobudki sygnał

dokąd?...

nastienie  
owoc  
opadanie liści.

Sanok. Podcienia

Fot. M. Kopeć



W tej sytuacji nie może uspokoić. Straciłem już pół dnia, a mimo to czekam.

— Panie Ober jeszcze piwo. I jeden głębszy. Nie pański interes. Zrozumiano. Pan jest od przyniesienia zamówionych potraw, a nie od psychologiczno-dydaktycznych rozprawek. Nie, nie gniewam się, ale proszę mnie zostawić. Samego, rozumie pan?

Siedzę. Ludzie przy sąsiednich stolikach patrzą na mnie ukradkiem. Uważnie. Może nawet z niechęcią albo z zaciekawieniem. W innym dniu rozszerzałbym się w koło, uśmiechnął wewnętrzną stroną ust, tak w głąb siebie, i zostawiłszy bryłę swojego ciała tu, gdzie siedzę, poszedłbym do stolika pod okno. Stamtąd dopiero obserwowałbym siebie i wszystkich, cały lokal. Tego sposobu nauczyli mnie pewien stary aktor lalkowy, Jeremiasz czy Jaremasz. O, Jarema się nazywał. Stawał za kotarą, wystawiał lalkę ponad parawan i zmuszał swoją wyobraźnię, aby obserwowała ruchy, życie lalki z pozycji widza siedzącego w którymś tam krześle, któregoś rzędu sali teatralnej. Mówił — teraz lalka smuci się, jest zaskoczona, a teraz widzi coś przerażającego.

Spróbowałem i ja raz, drugi... Później coraz częściej wysyłałem oczy swojej wyobraźni na ubocze i bawiłem się scenami, w których byłem jednocześnie aktorem obserwowanym przez niewidocznego dla innych widza. Och, jaki ja byłem śmieszny i odrażający w momentach gniewu, zainteresowania kimś obcym, zdobywania względów. Często myślałem, że z przyjemnością pozostałbym tylko czystą wyobraźnią, nie wracał do ciała. W tym momencie byłem najśmieszniejszy. Bunt wyobraźni kończył się. Ja z wyobraźni przychodziłem do siebie, wchodziłem w siebie pełny i gniewny.

Tak, zabawa nie cleszyła do końca. Przypominała stan po wypiciu czternastoprocentowego węgierskiego piwa, kiedy to na początku odlatywały troski, szumiła radość, ufność, wiara w siebie, by po paru godzinach zmienić się w rozpacz, zaprzeczanie wszelkim wartościom, w chęć unicestwienia siebie i innych.

Ale dzisiaj, kiedy tak czekałem, a sekundy przeradzały się w minuty, minuty w godziny, nie mnie nie mogło poruszyć. Profesor nie przychodził. Profesor, ostatni człowiek, który chciał i mógł mi pomóc. Nie zjawiał się mimo wielokrotnych obietnic.

To nie był zwyczajny profesor. Nazywali się go tak, kiedy na Barosz utca zegarki stanowią atrakcję obok złota, kamyczków i waluty. Od tamtego czasu moje drogi przepływały się z drogami profesora. Ani tam w Budapeszcie, ani tutaj w kraju nie oponował przeciwko tytułowi. Dla wszystkich stał się profesorem. A teraz nie przychodził.

Wiedział, że pali mi się grunt pod nogami, że jutro, pojutrze mogą wylecieć z posady. Wiedział, obiecał pomoc i nie przychodził.

Patrząc w wąską salę restauracji podniosłem kieliszek do ust. Szkló zacychotało na wargach. Kropla spłynęła po brodzie. Która to już „pięćdziesiątka”. Szóstka, siódma? Nie czułem alkoholu. Przez dwie godziny czekania krok za krokiem przeszedłem swoje życie. Moje własne nie ankietowe życie. Szukałem przyczyny klęski. Ale nie tylko tego szukałem. Nawet sobie człowiek nie mówi najobrzydliwszych rzeczy. Czasem przychodzi obrazami. Wtedy śpiewamy albo kłniemy, żeby zabić obraz. Najgorsze są sny. Nie ma w nich obronców. Ze snów uczymy się uciekać w świadomość, półsen. Niekiedy jednak przerażony leciałem w otchłań. Słyszałem swój własny krzyk. Budziłem się.

Klęskę przeczynałem w dzieciństwie, kiedy miałem, białymi dłoń-

mi unosiłem tacę pełną łakoci i owoców znad obrusa i podstawiłem pod czarne, ogorzone łapska Franka, Bolka i całej tej gromadki z Łaz. Brali nie domytnymi palcami, wślizgali do ust, cmokali, zapluliwali się. Truchlałem z obrzydzenia patrząc jak plamiam moje książki: Vernego, Maya, Londona. Prosiłem ojca: nie wysyłaj mnie do tej szkoły. Ja się nigdy do nich nie przyzwyczaję. Nawet ten Rysiek — syn dyrektora poczty mierzył, kiedy parska śmiechem plując przed siebie ciastka, oślinione okruszyny ciastek. Inni są gorsi.

Cóż, ojciec był demokratą. — Nawet ci myśleć nie wolno o rzucaeniu szkoły — mówił. Musisz nauczyć się życia i współżycia z ludźmi. Samotnie potrafi człowiek tylko rządzić, a i to musi się oprzeć o mięczaków.

A ty musisz umieć kierować ludźmi. Wygrzywać ich słabość. Rozumiesz to.

Kiedy zaprzeczałem brał mnie na kolana i opowiadał bajkę o lesie, którym nikt nie rządził. Drzewa niszczyły się nawzajem. Dęby pożerały leszczynę, leszczyna tu i tam kielkujące sosny. Albo bajkę o rogach, które rosły w dół.

Chyba wymyślał te bajki, bo nigdy ich później nie znalazłem.

Wtedy wierzyłem ojcu. Z nowymi chęćmi jechałem do szkoły. Nasz chevrolet otaczał tłum dzieciaków. Czasem kazałem Piotrkowi, żeby powoził ich w stronę Narwi.

Wręcałi rozpłomienieni. Przez pierwsze dwie, trzy paury zachowywali się cicho i grzecznie, później powracali wyzwiska:

— Te starościak, u ciebie koń na biegunach ma prawdziwe siodło czy z ceraty? Albo — Franek mówił, że ty się bawisz jeszcze lalkami i że twoje lalki zamykają i otwierają oczy, prawda to?

— Nie, nieprawda — wołałem. Ja mam prawdziwego konia z prawdziwym siodłem i jeżdżę na nim na polowania.

— A z czego strzelasz, z łuku?

Z łuku to ty możesz sobie strzelać. Ja mam prawdziwą strzelbę jak Staś. I też pojedę do Afryki. Będę polował na lwy.

To wreszcie murowało usta.

Nie na długo. Po pewnym czasie znowu stawali przeciwko mnie. Ich złośliwość doprowadzała do płaczu.

Poskarżyłem się ojcu. Popatrzył. Odożył gazetę.

— Ja synku też jestem sam. Nie mam przyjaciół. Mam tylko podwładnych. Byłbym dla nich niczym, gdyby nie koinierz bobrowy. Rozumiesz?

— Nie, tato, nie rozumiem.

— To nic, zrozumiesz. Zrozumiesz, kiedy go zobaczysz na swojej szyi. A teraz się ucz. Mówisz, że wszyscy są przeciwko tobie. Tański też?

— Też. Obaj i Wladek i Tolek. Nieraz to mi się wydaje, że mnie nienawidzą.

— Zazdroszczą ci tylko. Kto tam w twojej klasie jest największym zuchem. Kto się z ciebie najmocniej naśmiewa.

— Franek Kotlarski — wykrztusiłem może nawet szybciej niż chciałem powiedzieć.

— A czym się zajmuje jego ojciec?

— Jest rybakiem.

— A, rybakiem. Mówisz Kotlarski.

— Ojciec zamyślił się. Wreszcie położył mi rękę na ramieniu.

— A kto jest najsilniejszy u was w klasie?

— Chyba Tolek. Chociaż Franek, ten właśnie Kotlarski, zbił Tolka i Władka a sam nie dał się ani uderzyć, ani złapać, chociaż Tolek jest silniejszy.

— Mówisz o Tańskich, tak? — Właśnie tatusiu, o Tolku i Władku. Pobili się, bo Tolek pochnął Irkę Suchecką naumyślnie. A Franek kocha się w Irce.

— Aha, kocha się. I mówi jej to?

— Nie, nie mówi. Nosi jej książki do szkoły. Zawsze idzie koło jej domu, chociaż to nie po drodze i odprowadza ją.

— I po tym sądzisz, że ją kocha?

— Wszyscy u nas o tym wiedzą. A Irkę chce odprowadzić Tolek i też chce nosić jej książki do szkoły.

— Już wiem, Irka nie chce kochać Tolka tylko tego Franka, rybaka i dlatego Tolek ją pchnął. Prawda?

— Nie tatusiu. Tolek ją pchnął, bo mu powiedziała, że jest lizus, a nie mężczyzna.

— Wiesz ty co? Zaproś do siebie tego Tolka i jeszcze paru chłopców i kilka dziewczynek. Tę Irkę Suchecką także. To dobra rodzina.

Na Barosz utca zegarki były towarem nie mniej chodliwym niż złoto, złote ruble, dolary.

Front Ukraiński zbliżał się jak burza do granic Węgier, zwłaszcza, kiedy Rumuni zmienili front i przeszli na stronę Rosjan.

Mój pokój obok Teleki Ter służył nam za skład wszelkiego wojennego dobra.

Tutaj gromadziliśmy wykradzione przez Dziudzia faszki tokajów, rizlingów i likierów. Na uniwersytet przestało się chodzić, zwłaszcza po aresztowaniach dokonanych nie-

Wiadomo za co darowuje futra. Nazajutrz przed drzwiami pokoiku, w którym mieszkaliśmy, stała mamunia, Beż — ta szesnastoletnia oszukana i jej starsza, śliczna siostra Gizl. Wrzaskliwymi głosami domagały się mojego futra. Mojego, a nie Dziudzia.

Naturalnie sensacja była na całej trzy kamienice jakoś tak po węgiersku przylegające do siebie, połączone schodami.

Nie miałem odwagi krzyżeć. Skończyło się na tym, że wciągnąłem zaskoczona Gizl do pokoiku. Uspokoilem najpierw zgnębną siostrę, a potem matkę i pokrzywdzoną 16-latkę tym czym miałem: tokajem assu i zegarkiem francuskim, nie najlepszym.

Tokaj i tak był Dziudzia. Zegarek sobie odbiłem w wieczornej transakcji, a nado zyskałem śliczną Gizl i to raczej bezinteresownie.

— Gizl nie szir — mówiłem całując jej duże ciemnobrązowe oczy. — Nie placz, nie odejść.

Pół roku później, kiedy odjeżdżałem do Polski żegnając się mówiałem:

— Ne szir. Nie zapomnę.

Najbardziej doświadczonym z nas „zegarmistrzem” był Heniek, Pochodził z Krakowa. Wychował się na Kazimierzu wśród żydowskich mieszkań pachnących czosnkiem, śledziami i cebulą, często niedzą i rojem zaropiałych, brudnych dzieci. Miał już blisko 20 lat, kiedy nagie, niespodziewanie dla kolegów przechrzcił się... na judaizm.



RYS. J. SIENKIEWICZ

omal równocześnie z zajęciem Budapesztu i całych zresztą Węgier przez armię niemiecką, Uniwersytet zamarli. Tylko Barosz utca stukała butami, szemrała ściszonymi szepciami, skrzypiąca drzwiami bram.

Było nas trzech. Każdy nosił po pięć, sześć zegarków. Nasze stanowisko obejmowało róg Rakoszi utca — najniebezpieczniejsze i ciągnęło się do czwartej bramy.

— Pan szuka longina. Trudna sprawa. To nie jest jakiś zwykły werk. No, zobaczymy. Ale czy pan rzeczywiście chce kupić czy nie Teszik varni.

Nasza węgierszczyzna nie była w najlepszym gatunku. Zegarki szwajcarskie i niemieckie bardziej pospolite mieliśmy na rękach, w kieszeniach. Longiny... schaffhauseny, nosił tylko jeden, ten który urzędował koło trzeciej bramy. Można się było nią przedostać na Mejsarosz utca, ująć pogoni, ocalić majątek.

Było nas trzech. Dziudziu, Henryk i ja. Najmłodszy, ale najsprytniejszy, najlepiej dostosowany do czasu zamętów był Dziudziu. Nie miał zresztą nigdy skrupułów. Osiągał cel kłamstwem, obietnicami, szantażem. Raz mojej 16-letniej sąsiadce podarował moje futro. Moje, wyniesione z jakiejś opustoszałej willi.

— Proszę mnie puścić. Jestem dyplomatą i sam potrafię znaleźć komisariat.

Stanęliśmy jak wryci. Policjant, bo nie rozumiał, my, bo kto się mógł spodziewać, że napastnikiem okaże się Polak.

— Panie — przyskoczyłem do oniemiałej trójcy. — Nie wiem kim pan jest. Ale to nieporozumienie jakieś. O co chodzi?

— Ten łobuz sprzedał mi wczoraj zepsuty zegarek.

— Ja? — ryknął Heniek. Pan się myli. Nigdy nie handluję zepsutym towarem. Mnie tu wszyscy znają. Czego się pan czepia. Ja panu sprzedałem, ja?

— Teraz oniemiał sprawca całej awantury. Coś mu się w głosie Heńka nie podobało. Nie wiedział tylko co.

Znowu wkroczyłem w akcję.

— Nazwał pan siebie dyplomatą. Czy to prawda?

— Tak, jestem radcą ministerstwa.

— To ja powinienem pana znać. Nazywam się Taczanowski.

— Naprawdę?

— Tak. Mój ojciec był starostą.

— Znam, naturalnie znam. Dzielny człowiek.

— Panie radco, niech pan przyjrzy się przy świetle tej wystawy mojemu koledze. Zobacz, pan, że to nie ten, który pana oszukał.

— Ja już po głosie poznałem. Tamten był Węgrem. Przepraszam. Ale to fakt. Sprzedano mi zepsuty zegarek.

— Znowu się zaperzył, ale spojrzawszy na niecierpliwie się policjanta, sięgnął do kieszeni i wyciągnął swój dyplomatyczny paszport.

— Ein wadziok dyplomat. Teszik — pokazał paszport. A z tym panem to pomyka. W ciemności przypominał mi tamtego draba. Nadzion boczanot kejrem.

Tak poznałem pana radcę. To był właśnie profesor, na którego teraz czekałem, a on się nie zjawiał. Mijała trzecia godzina od zapowiedzianej. Co prawda profesor z góry zaznaczył, że może się spóźnić i trzeba czekać. Czekałem.

Pan profesor? Uczyl mnie. Wychowywał. Pod jego okiem stawiałem pierwsze kroki w garbarstwie, a później przemysle elektrotechnicznym. W zasadzie nie popełniałem błędów. Elektrownia, której byłem dyrektorem pracowała bezawaryjnie. A reszta... przecież to były drobnostki. Nie liczyły się. Moje prywatne życie, to było moje prywatne życie. Przyjaciół także miałem. Całą plejadę: piesków, doradców, kompanów.

I tu nagle ta komisja. Partyjna. Z samej kontroli. Bo skargi.

— Profesorze, źle, Ratuju. Przyjechał, a jakże. Konferuje, a ja muszę czekać.

— Ober jeszcze piwo i „pięćdziesiątkę”.

To co, że piłem. Za swoje. A kobietki? Moja sprawa prywatna. Krzywdy nikomu nie robiłem. Samotny jestem. No... w każdym razie żony tutaj w tym mieście nie mam. Tak jak i mieszkania. Ponieważ się człowiek w służbowym pokoiku obok biura, samotny. Do towarzystwa ciągnie, do kobiet. Są czulsze. Rozumieją. Pociuszają...

— Panie profesorze, nareszcie. Panie profesorze. Trzy godziny czekania.

Starszy siwy pan spokojnie zdejmuje rękawiczki. Siada. Chwilę patrzy na mnie.

— No, cóż młodzieńcze. — Nazywa mnie młodzieńcem i to już od lat. No cóż, źle. Wykiwano cię. To by jeszcze nie było najgorsze, ale po coś głupcze złożył bobrowy koinierz. Kto wali w twarz starego odzwiernego bez dania racji, wygania sekretarza organizacji z gabinetu. Krzyczy za nim publicznie. Tylko głupiec. No i masz swój bobrowy koinierz. Będzie cud, jeśli cię z partii nie usuną.

Przerywam profesorowi.

— Mój ojciec nosił bobrowy koinierz.

Nosił, bo mógł. Ja też nosiłem. Bo taki był czas. Można było. Trzeba było. A teraz patrz.

Patrząc. Profesor odchyła śnieżnobiałą kbszulę. Łśni pod nią niewidoczny z zewnątrz bobrowy koinierz.

— Pan nosi...

— No, nie tylko ja.

— I co teraz z mną będzie?

— Zobaczymy. Tak łatwo się nie przegrywa. Trzeba czekać.

Na naszych ekranach

# DANNY KAYE

Urodził się w Brooklynie — dzielnicy Nowego Jorku w roku 1913. Jego prawdziwe nazwisko — Kaminsky. Po ukończeniu nauki obiera karierę teatralną. Do roku 1944 występował w teatrach rewizyjnych i komediowych Stanów Zjednoczonych, a także Europy, jest aktorem, śpiewakiem i tancerzem. Już wtedy zdobył popularność i uznanie występami w „Słomianym kapeluszu”, „Lady in the Dark”, „Death takes a Holiday”, „Play's the Thing”.

W roku 1944 producent Samuel Goldwyn powierza mu rolę w filmie „Up in Arms”, lansując go następnie jako partnera aktorki Wirtginii Mayo — nieśmiałego młodzieńca, zagubionego w wirze wielkomięjskiego życia, który dzięki miłości kobiety odzyskuje wiarę w siebie i potrafi dostosować się do każdej okoliczności.



Kadr z filmu „Jacobowski i pułkownik”.

Lista filmów z Danny Kaye jest dość długa. Do najbardziej interesujących należą: „Wonder Man”, „Kid from Brooklyn”, „Secret Life of Walter Mitty”, „Song is born”, „Inspektor General” (według gopolińskiego „Rewizora”), oraz zrealizowane w jego własnej, założonej w 1952 roku wytwórni „Knock on Wood”, „Merry Andrew”, „Court Jester” i „The Five Pennies”.

U nas widzieliśmy go 5 lat temu w filmie „Jacobowski i pułkownik” zrealizowanym przez reżysera Petera Glenville'a według znanej sztuki nieznanego już Austriaka Franza Werfla. Kaye zaprezentował się nam w nim jako doskonały aktor, wywołujący na przemian to śmiech, to wzruszenie chwytające za gardło. Jakże precyzyjnie i konsekwentnie zbudował ten nowojorski postać S. L. Jacobowskiego, Żyda z Horodenki, który ucieka przed hitlerowcami przez całą Europę! Kiedy w recepcji małego paryskiego hoteliku widzimy jego smutny uśmiech i żywe, bystre oczy, kiedy słyszymy powtarzaną później wielokrotnie sentencję „zawsze istnieją przynajmniej dwie możliwości”, czujemy sympatię do tego jakże tragicznego człowieka, nie tracącego głowy w żadnej sytuacji, choć zrezygnowanego i znużonego ciągłą ucieczką przed prześladowcami.

Jacobowski jest reprezentantem życiowej mądrości i sprytu, jego partner pułkownik Prokoszny (także z Horodenki!) to typ buńczuczny-

go, hurra-bohaterskiego Polaka uznającego jedynie brawurę, bez względu na okoliczności, idącego przebojem. Pułkownik jest szalony i śmieszny, Jacobowski spokojny i rozważny. A przecież w starym francuskim zamku dochodzi do zbliżenia tych dwóch przeciwstawnych sobie, na odległych biegunach stojących ludzi. Widzimy jak desperacko walczy Jacobowski, widzimy, jak w obliczu niebezpieczeństwa zniknie bufonada i fałszywe „bohaterstwo” Prokosznego.

„Wszyscy po trosze jesteśmy z Horodenki” napisał kiedyś Wiktor Woroszyński, traktując obie te postaci filmowe jako dwie możliwości postaw życiowych. „Zarówno pułkownik, jak Jacobowski żyją w nas i spierają się ze sobą codziennie”.

Rolą Jacobowskiego zaprezentował nam się Danny Kaye nie tylko jako utalentowany komik, ale jednocześnie jako aktor niezwykle wrażliwy, inteligentny i błyskotliwy. Kreowana przez niego postać dobrze utrzymała się w pamięci widzów.

Kaye nie poprzestaje tylko na filmie. Występuje również na scenie, a kilka lat temu odbył podróż dookoła świata, uczestnicząc w dobroczynnych przedstawieniach na rzecz funduszu dzieciom, stworzonego przez ONZ. Występuje również w telewizji, organizując dla niej co roku wielką rewie.

Zobaczymy go wkrótce w naszych kinach. W filmie Franka Tashlina „Gangster i urzędnik” gra urzędnika, któremu grozi śmierć z ręki szefa bandy opryszków. Nie widzieliśmy jeszcze Kaye w tej roli, ale pozwólcie sobie zacytować dwie wypowiedzi zachodnich recenzentów na jej temat

„...jest prawdziwą przyjemnością mieć możliwość smakować go (D. Kaye — red.) takiego, jakim jest naprawdę, mistrza szybkiej, ciętej riposty i nieśmiałego gagu wizualnego” — pisał po obejrzeniu tego filmu Peer Cowie w „Films and Filming”, krytyk zaś „Film — Kuriera” dodawał: „Danny Kaye, który mimo największego blażenstwa zawsze zostaje postacią po ludzku prawdziwą, znajduje się w centrum tej żywej przez Tashlina zainscenizowanej opowieści”.

Warto będzie skorzystać z jakże rzadkiej możliwości ujrzenia tego aktora. (s)



Jan Brzękowski: WYOBRAŻENIA WY-ZWOLONA. Szkice i wspomnienia. W-wa 1968, PIW, s. 246, cena zł 15.

Nowa książka znanego poety, powieściopisarza i teoretyka. Zmieszcza on w niej swoje prace teoretyczne, dotyczące poezji Awangardy. Jeden ze szkiców ma charakter autobiograficzny.

Stanisław Grochowiak: KARABINY. Wyd. 2. W-wa 1966, MON, s. 182, cena zł 10.

Wznowienie ciekawej powieści, której akcja rozgrywa się w Bieszczadach w pierwszych dniach po odzyskaniu wolności. Tragiczne dni walk młodej władzy z grasującymi tu bandami, są tem przemyśle głównego bohatera — księdza Bruno.

Alfred Döblin: HAMLET, CZYLI KRES DEUGIEJ NOCY. W-wa 1966, PIW, s. 535, cena zł 35.

Powieść wybitnego niemieckiego pisarza. Kto winien jest rozpętaniu II wojny światowej? — oto pytanie, które nurtuje głównego bohatera powieści. Akcja jej toczy się w Anglii po zakończeniu wojny.

Włodzimierz T. Kowalski: WALKA DYPLOMATYCZNA O MIEJSCE POLSKI W EUROPIE (1939-1945). W-wa 1966, PIW, s. 746, cena zł 80.

Opierając się na najnowszych poszukiwaniach autor ujawnia ciekawe, dotąd nie znane szczegóły pertraktacji dyplomatycznych w sprawie Polski, prowadzonych w czasie II wojny światowej w Białym Domu, na Kremlu i w Londynie.

Jean Renoir: RENOIR. Przeł. Zofia Jarremko-Pytowska. W-wa 1966, PIW, s. 498, cena zł 50.

Biografia jednego z największych malarzy wszystkich czasów, napisana przez jego syna, znanego reżysera filmowego. Licznie ilustrowana, pokazuje w szczególności bogactwo przeżyte artysty oraz charakterystykę jego otoczenia.

Andrzej Mierkułow: TROPICIELE WYSP FANTASTYCZNYCH. Przeł. Irena Piotrowska. W-wa 1966, Iskry, s. 164, cena zł 10.

Siedem opowiadań zawartych w tomie poświęcił autor ludziom niezwykłym. Pisze więc o znanym pilocie oblatywawcu Anochinie, Konstantym Ciołkowskim — zwanym ojcem radzieckiej kosmonautyki, o profesorze Gierasimow, który otwiera wykład dawno zmarłym ludzi oraz o innych bohaterach naszych czasów.

Wiktor Hugo: NEDZNICY. T. 1-4. Wyd. 3. Przeł. Krystyna Byczewska. W-wa



JAN DĄBROWSKI — członek zespołu „Meluzyna” w Rzeszowie. Rys. JERZY SIENKIEWICZ

1966, PIW, s. 505 + 486 + 419 + 406, cena zł 100.

Znakomita powieść XIX-wiecznego pisarza francuskiego obfituje w elementy rzeczywistości, świetnie nakreślone postaci, a jej część historyczna jest pierwszorzędnej wsi.

Jas Vandelo: NIEBEZPIECZENSTWO. W-wa 1966, PIW, s. 107, cena zł 10.

Belgijski dziennikarz i literat w tej małej powieści omawia aktualny problem niebezpieczeństwa atomowego. Akcję tej interesującej książki umieszcza w ośrodku badań jądrowych.

Wiesław Sadurski: POD OKIEM ZEGARA. W-wa 1966, Iskry, s. 64, cena zł 10.

Zbiorek wierszy współczesnego poety. Przeważają liryki osobiste.

Wiesław Rogowski: SPOTKANIE NA SKRAJU CIENIA. Wyd. 2. Gdynia, 1966. Wyd. Morskie, s. 97, cena zł 10.

Wznowienie ciekawej powieści ukazującej sprawę powojennej Niemieckiej Republiki Federalnej. Główny bohater książki — były oficer Wehrmachtu, który wstąpił tam nie z przekonania, ale dla kariery — dokonuje obrachunku z listami wojny.

Igor Działkowski: HEMOROIDY I INNE CHOROBY ODBYTU. Wyd. 3. W-wa 1966, Państw. Zakł. Wydawn. Lekarskich, s. 68, cena zł 4.

Popularna praca omawia m. in. takie choroby jak żylaki i rak odbytu.

DWUTYGODNIK  
POŚWIECONY  
OBYCZAJOM  
SARMATÓW



REDAGUJE  
E. GAJEWSKI  
RYSUJE  
J. SIENKIEWICZ

## ALBOŚMY TO CACY, CACY...

### Żyje się raz

„NIE DLA NAS SZNUR SAMOCHODÓW...”

W gruncie rzeczy propozycja Wojtka niezwykle mnie uradowała.

— Trzy dni wolnego. Co będziesz się płał po mieście. Jeszcze gdzieś pyszczyśko zachłapiesz. Pakuj się z nami do Myczkowiec. Jedzie Buśka, Jacek i ja, jedno miejsce wolne!

Skoczyłem więc do domu, zapakowałem plecak i sprzęt wędkarski. Wkrótce podjechał Wojtek. Czas mijał miło. Przed nami i za nami ciągnął się sznur samochodów. Za Brzozowem Buśka, to jest żona Wojtka powiedziała do niego w trybie rozkazującym.

— Od dwóch lat mam prawo jazdy. Przesiadz się! Wojtek nie oponował. Wiadomo, nie uchodzi, głowa rodziny.

Gdy Buśka siadła za kierownicą przy zmianie biegów zaczęły się dziać jakieś dziwne rzeczy. Przeróżliwe grzyty irytowały Wojtkę.

— Z wycuciem, patrz przed siebie. Uwaga, zakręt! Nie widział w lusterku, mija nas „Wołga”!

Te instrukcje okropnie rozeźliły Buśkę.

— Nie mogę patrzeć przed siebie, zmieniać biegi i jeszcze zerkać w lusterko. Wybieram lusterko! — rzekła stanowczo Buśka i wzięła ostro zakręt.

Próbuję trzymać nerwy na wodzy, ale mi to nie wychodzi. Tracąc więc Wojtkę, i niby żartem próbuję dyplomatycznie zagrać na próżność kobieciej.

— Prawdziwa kobieta prędzej dostrzeże podejrzany włos na kłapie ubrania swojego męża niż bramę wjazdową wielkiego garażu.

— Co ty tam gędzisz? — zareplikowała Buśka.

— Ja naprawdę nic, to Orson Welles — rzekłem potulnie, bo Buśka zamiast wygasić, dodała gazu na zakręcie. W końcu Wojtek doszedł do przekonania, że najwyższy czas zmienić Buśkę.

Odprężenie, które z tą chwilą spadło na mnie, można porównać tylko do stanu nieważkości. Do Myczkowiec dojechaliśmy szczęśliwie i szczęśliwie spotkaliśmy dość liczne grono znajomych.

Wkrótce wszyscy zgodnie stwierdzili, że pogoda jest gastronomiczna i po robocie nie zaskodzi. Gdy wyłożyliśmy przeczornie zakupione zapasy „paliwa”, było tego niemało.

Rano o piątej miałem iść na ryby, ale wszystkich okrutnie suszyło. Z Frankiem podskoczyliśmy po piwo. Wojtkowi z miejsca odmokło, a w południe przyjechał Władek z Kazkiem i byli jacyś wczorajsi. Wkrótce Władek stwierdził, że trzeba wybić klina i upłynnić zapasy. Po południu zrezygnowałem z ryb, bo wszyscy twierdzili, że w taką pogodą nie biorą. Poszliśmy zbiorowo po piwo, aby nie tracić „szwungu”, bo przerwy źle robią — stwierdził Kazek.

Wieczorem rozpaliliśmy olbrzymie ognisko, bo taki tu zwyczaj i śpiewaliśmy pieśni masowe, klasyczne i współczesne, m. in. „Ponie ognisko w lesie”, „jak

szybko mijają chwile”, „Góralu, czy ci nie żal”, a szczególnym powodzeniem cieszyła się pieśń „Żyje się raz”, którą odśpiewaliśmy kilkakrotnie.

W sobotę zerwaliśmy się z łóżek bardzo wcześniej i próbowaliśmy się dostać do w. c. należącego do naszego ośrodka wypoczynkowego.

Daremny trud. Wygódka, choć bardzo nędzna, cieszyła się niesamowitym wzięciem. Rzecz zrozumiała, bo przeciwległą łakę pokrył las namiotów i samochodów, a do lasu daleko. Trzeba przyznać, że w szturmowaniu w. c. kobiety wyeliminowały nas w przedbiegach, trzymając na zmianę wartę przed wygódką. Ta metoda zmusiła Kazka i mnie do złożenia oficjalnego oświadczenia, że idziemy do lasu na grzyby. Towarzystwo przyjęło oświadczenie z zrozumieniem i pobłażaniem. Gdy wróciliśmy, nikt o grzyby nie pytał.

W międzyczasie Władek zmobilizował wszystkich do czynu pod hasłem „Upiększamy nasz ośrodek wypoczynkowy”. Całe bractwo uzbrojone w łopaty przycinało jakiś ozdobny klombik. Czyn czynem, nie można odmawiać. Byłem jednak poirytowany grzybobraniem, bo takich jak ja grzybiarzy było w lesie więcej niż drzew. Więc mówię:

— Nie lepiej jakąś porządną wygódkę zmajstrować?

Władek wsiadł na mnie z gębą.

— Oto esteta! Specjalista od wychodków — dorzucił ktoś drugi.

Skapitulowałem.

Wieczorem mieli ognisko sąsiedzi z ośrodka wypoczynkowego bratniej nam instytucji. Śpiewano pieśni masowe, klasyczne i współczesne do pierwszej godziny w nocy.

Siedziałem sobie na werandzie, bo i tak spać było nie można. Nagle z wygódki wyskoczył jak oparzony Władek. Za nim leciała piękna wiązanka...

— Ślepyś łajdaku...?

Władek zmieszany mrucał pod nosem o okropnych warunkach. Zaśmiałem się w głos.

— Dobrze ci, zafajdany esteto!

W niedzielę rano nie poszedłem na ryby, bo byłem niewyspany. Pozbierałem się dopiero o godzinie jedenastej. Całe towarzystwo urzędowało na werandzie u Wojtka, bo pogoda była gastronomiczna.

— Co ty hipopotamie, znowu żłopiesz — pytam Wojtkę, bo ślepią ma dziwnie rozmarzone? A on mi bezzalnie...

— Żyje się raz!

— A kto poprowadzi „Syrenę”?! — Buśka!

— Miej Boga w sercu, żyje się tylko raz! — wyszeptalem, chwając się na nogach, mimo że byłem po 3-dniowym odpoczynku.



„Brzoza” — Sarżyna Osiedle: Niestety, nie rozumiemy nadesłanych nam wierszy. Nie wiemy co to jest „żrenicy pożaczana nieć”, „dom promieni zmienionej w westchnienie...”, „Śmiech będzie trwał na pionowym horoskopie zamierzeń”. Czy nie za daleko Pan poszedł w próbach „współcześniania” poezji? Można obejść się bez rymu, tradycyjnego rytmu, znanych z poetyki figur poetyckich, ale z sensu myślowego zrezygnować nie wolno, bo wiersz zamienia się w bełkot.

G. E.: Tym razem wprawdzie pismo jest czytelne i list podpisany, ale załączone wiersze w dalszym ciągu nie zasługują na pozytywną ocenę. Są nieporadne, prymitywne i naiwne. Nie warto chyba szukać sukcesów na tym polu.

„Gapa”: To jest anegdotka do opowiedzenia na imieninach, a nie opowiadanie. Nie skorzystamy.

T. B. Korczyńska, J. P. Wola Ranilżowska, St. Sz. Rzeszów, S. K. Zagórz: Nie skorzystamy.